

Do kin weszła niedawno druga część kinowej „Diuny” – ekranizacji epickiej powieści Franka Herberta z lat 60. Nietrudno zauważyć spore zainteresowanie mediów i opinii publicznej tą produkcją. Dlaczego warto zaznajomić się z tą pozycją?

Najlepiej zacząć od tego, o czym ogólnie opowiada „Diuna”. Punktem wyjściowym historii, dziejącej się w bardzo dalekiej przyszłości, jest przejęcie władzy nad planetą Arrakis przez ród Atrydów. Czynią to z polecenia Imperatora władającego kosmicznym cesarstwem obejmującym tysiące planet. Arrakis jest nazywana we Wszechświecie „Diuną” ze względu na swój klimat – cała planeta stanowi bowiem jedną wielką pustynię pokrytą piachem i skałami, z bardzo nielicznymi osadami. Co więc niezwykle jest w tym nieprzyjaznym do życia ciele niebieskim? Występują tam złoża melanzu (zwanego też przyprawą) – niezwykle cennej i silnie oddziałującej na zażywającego substancji, której odpowiednie dawkowanie pozwala na wydłużanie życia i wytyczanie bezpiecznych szlaków komunikacji kosmicznej. Wydobycie przyprawy z piasków jest jednak obarczone dużym ryzykiem – sprzęt wydobywczy jest atakowany przez występujące na planecie olbrzymie stworzenia przypominające robaki (w polskim przekładzie nazywane Czerwiami pustynnymi). Ród posiadający Arrakis jako lenno ma więc za zadanie dbać o nieprzerwane i bezpieczne wydobycie i dostawy przyprawy dla całej reszty Imperium – w zamian za to mając odpowiedni procent zysku. Atrydzi przejmują planetę z rąk Harkonnenów, którzy władali Diuną w sposób wyjątkowo bezwzględny. Jak łatwo można się domyślić – decyzja Imperatora jest tylko pozornie gestem dobrej woli. Odbija się to na losie Paula Atrydy – synu księcia Leto stojącego na czele arystokratycznego rodu.

Tyle słowem wstępu. Brzmi to oczywiście dosyć abstrakcyjnie i jak typowe science-fiction, ale gdy przyjrzymy się poszczególnym elementom opowieści, odkrywamy znajome wątki. Diuna – zwłaszcza książkowy pierwowzór – to bowiem nie tylko rozrywka. W swej warstwie fabularnej kryje wiele odniesień do naszej rzeczywistości, przeniesionych po prostu na poziom powieści fantasy. Literacko to raczej złożona epopeja, w której można odnaleźć wątki społeczne, polityczne, ekologiczne i religijne. Stąd wielu uznaje ją za klasykę literatury.

„Diuna” przez wielu literaturoznawców jest uznawana przede wszystkim za polityczną przypowieść. Można w niej odnaleźć spostrzeżenia na temat kruchości balansu władz ze względu na dążenie do dyktatury (imperator pozornie jest ograniczony przez Landsraad – radę tzw. Wysokich Rodów, co ma stanowić gwarant pokoju na kosmiczną skalę, ale jest też zarzewiem konfliktu), zakulisowych grup wpływu (szczególna rola żeńskiego zakonu Bene Gesserit), wykorzystywania religii, wreszcie – rodzącego się fanatyzmu i kultu jednostki. Politykom i urzędnikom warto polecić Diunę jako przestrożę przed zbytnią pokusą centralizacji władzy, chciwością oraz odcięciem od obywateli (znaczące ukazanie dworu Padyszacha Imperatora oraz zepsutych do szpiku kości Harkonnenów).

Założenie, że cały system władzy w Imperium opiera się na strategicznym surowcu (uwidocznionym w haśle „Przyprawa musi płynąć”) można odczytywać jako krytykę uzależnienia ludzkości od paliw kopalnych. Tym bardziej, gdy w miarę posuwania się fabuły, czytelnik zaczyna wraz z Pauliem rozumieć skąd melanz się bierze. Książka ma jasne przesłanie przyrodnicze, czego sam autor nie ukrywał – planeta stanowi kruchy system naczyń połączonych. Znaczenie ekologiczne jest tu równie istotne co twarda polityka, dlatego „Diunę” uznaje się za prekursora świadomego ekologizmu w popkulturze. Odwołanie bardzo aktualne w dzisiejszych czasach.

Pół-żartem pół-serio, można stwierdzić, że w Diunie znajdują się wątki... samorządowe. Szczątkowe co prawda, ale są. Reprezentowane są one przez plemiona Fremenów – pustynnego ludu, który zamieszkuje

planetę Arrakis. Fremenowie mają własne obyczaje, prawa i niechętnie ujawniają się przed władcami planety. Uznają pustynię za swój dom, który „pozaświatowcy” niszczą w imię doraźnych zysków. Herbert celowo zestawiał w książce dwa podejścia do tubylców – Harkonnenowie, którzy rządzą Diuną przed Atrydami, traktowali Fremenów i ich planetę jako cel wyzysku, a sami nomadzi stanowili problem, który aktywnie zwalczali – głównie ogniem i mieczem. Natomiast Atrydzi przyjmują zupełnie inną politykę – chcą zawrzeć z Fremenami sojusz (a przynajmniej porozumienie), które pozwoli czerpać z bogactwa pustyni jednocześnie dając swobodę pustynnemu ludowi w pozostałych kwestiach, gdyż oznacza to pokój i rozwój gospodarczy. Swoistym symbolem niezależności Fremenów są sicze będące niejako ich gminami – rozległe systemy mieszkalne w jaskiniach pod piaskami pustyni, na czele których stoją naibowie (choć oni władzę zdobywają głównie w pojedynkach, nie są więc elementem demokratycznym). W postaciach Fremenów Herbert umieścił też główne wątki zderzenia kultur (są tam szerokie odwołania do kultury islamu).

Nie pomija się przy tym kwestii filozoficznych i bardzo głęboko psychologicznych, na granicy metafizyki. W tej części opisów wychodzących spod pióra Herberta książka jest chyba najtrudniejsza w odbiorze.

Wielkim atutem powieści jest to, że tak jak w prawdziwym życiu, a czego wielu nie chce dostrzec, wszystkie te motywy dosyć płynnie potrafią się łączyć. Jest to więc historia rzeczywiście wielowarstwowa i trzeba przyznać – niełatwa do czytania. Ma też bardzo specyficzny klimat (niektórzy porównują go do swego rodzaju snu lub wizji) i świat przedstawiony, który niełatwo jest zwizualizować. Jakaś część czytelników w trakcie zapoznawania się z dziełem zwyczajnie odpada, gdyż sposób prowadzenia akcji może dla wielu wydawać się nudny lub zbyt skomplikowany (przy czym i tak pierwsza „Diuna” jest dosyć prosta – dalsze części serii potrafią wznieść się na naprawdę wysokie poziomy abstrakcji i domysłów). Dlatego dotychczasowe ekranizacje kończyły się raczej zawodem niż sukcesami (najbardziej znana jest Davida Lyncha, od której sam reżyser się odżegnuje, twierdząc, że producenci zniszczyli jego wizję). Być może dopiero obecna technika filmowa pozwoliła na w miarę sprawne przeniesienie historii na ekran. Niezależnie bowiem jak widzowie ocenią samą fabułę, trzeba oddać, że od strony wizualnej (począwszy od plenerów, przez scenografię, kostiumy i technika świata przedstawionego) obie części pod reżyserią Denisa Villeneuve’a i gdzie główną rolę gra Timothée Chalamet, są po prostu oszałamiające. To nie dziwi – kanadyjski reżyser specjalizuje się w filmach, które nadają ton swojej historii w dużej mierze za pomocą wizualiów (Blade Runner 2049; Nowy początek).

Pierwsza część filmu zebrała pozytywne recenzje. Obecna dotychczas zbiera jeszcze lepsze. Ciężko wyrokować czy najnowsze filmy wejdą do kanonu światowego kina fantasy tak jak oryginalna trylogia „Gwiezdnych Wojen” George’a Lucasa albo „Władca Pierścieni” Petera Jacksona. Istnieje na to olbrzymia szansa. Faktem bowiem jest, że materiał źródłowy dostarczył potężną bazę scenariuszową. Fabułę, w której wiele osób – czy to z racji zainteresowań, zajmowanego stanowiska czy też poglądów – może się zagłębić mając poczucie rzeczywiście epickiej i kompletnej w swej wielkości opowieści.